

BERLICZ SAS

DWAJ BISKUPI

(OBRAZEK Z PRZESZŁOŚCI)



KRAKÓW 2017

www.ultramontes.pl



Kościół katedralny w Łucku

DWAJ BISKUPI

(Obrazek z przeszłości)

BERLICZ SAS

Ksiądz Kasper Cieciszewski, arcybiskup Mohylewski, metropolita kościołów rzymsko-katolickich w Rosji, zmarły w Łucku w 1831 r., był postacią historyczną wysokiego znaczenia pod względem obywatelskim, duchownym i humanitarnym. O zasługach jego publicznych zamilczę, bo komuż nie są znane? Za Stanisława Augusta był on już biskupem Kijowskim, i zasiadał podczas czteroletniego sejmku w senatorskim krześle wspólnie z biskupami: Okęckim, Poznańskim, Szembekiem, Płockim, Turskim, Łuckim, których światłemu patriotyzmowi i cnotom kapłańskim, dzieje ojczyste sprawiedliwą pochwałą oddały. W epoce rozkładu narodowego społeczeństwa, kiedy tradycyjną surowość obyczajów toczyć zaczęła rdza zepsucia, miło spocząć myślą na człowieku wyłącznym, dzielącym z niewielu podobnymi sobie zasługę wierności zasadom, którymi istniały dawne polskie pokolenia, chciwie szacunku świata i błogosławieństwa nieba. Takim to właśnie człowiekiem był ksiądz Cieciszewski. Zająwszy metropolię, po śmierci księdza Bohusza Sistrzeńcewicza, człowieka światowego, ubiegającego się gorliwie o dworskie fawory, Cieciszewski, zamiast przebywać w Petersburgu, osiadł w Łucku, gdzie się całkiem poświęcił obowiązkom wysokiego mandatu swego. Sława rozumu, dobroczynności i wzorowych cnót kapłańskich, rozbrzmiała imię jego szeroko.

Aleksander I obsypał go całą plejadą gwiazd swoich i orderów; odwiedzał go często, i długo sam na sam zwykł z nim poufnie obcować. Wielki Książę Konstanty, pod którego zarządem zostawały podówczas Podole i Wołyń, nie minął nigdy Łucka, bez oddania hołdowej wizyty sędziwemu pasterzowi, u nóg którego lubił siadać na stołeczku, i tak *à huis clos* rozmawiać.

Kiedym w 1828 r. odwiedził babkę moją, panią kasztelanową Trocką, w Łaurowie, zbliżały się już dni wielkopostne, zwykle przepędzane przez nią w Łuckim klasztorze panien Wizytek. Przygotowania pobożnej pielgrzymki zastałem rozpoczęte. Poczciwy Kozik (1) krzątał się i zwijał, ile mu lata pozwalały. Ładowano fury, pakowano powozy, hojniej karmiono stare koniska dla rozbudzenia w nich sił, postem i wiekiem nadwątlonych. Sama babunia, wielce rada z przybycia mego, powtarzała mi ciągle: "Pojedziesz ze mną – przedstawię cię *à Monseigneur* – *C'est un saint! – Il fait des miracles!*".

W dniu wyjazdu powołała do siebie mentora mego, pana Gusseka (2), i rzekła doń: "Biorę z sobą wnuka mego. Asan zostaniesz w Łaurowie z p. Kozikiem. Jesteś lutrem, a więc niegodnym być w tak świętym miejscu jak Łuck, *où réside Monseigneur l'Archevêque Cieciszewski*". Po tej oryginalnej tyradzie, którą Gussek, *titulo* rozumnego człowieka, kornie i cierpliwie wysłuchał, wsiedliśmy do powozu i ruszyliśmy, wlokąc za sobą całą karawanę fur i wozów z prowizjami dla klasztoru.

Przełożoną zgromadzenia Wizytek była o tej porze panna Kossakowska. Uwiadomiona zawczasu o dniu i godzinie przybycia babuni, czekała u podjazdu na czele owieczek swoich zgromadzonych *in pleno*. Po odbytej ceremonii wprowadzono panią kasztelanową *processionaliter* do klasztoru, gdzie już były dla niej przygotowane pokoje; mnie zaś profana niegodnego przestąpić poświęcone progi, pomieszczono w przyległym domku, u ks. kapelana Gruszczyńskiego.

Zacny gospodarz przyjął gościnnie wnuka dobrodziejki konwentu; oddał w moje rozporządzenie dwa czyściutkie pokoiki, ozdobione sztychowanymi wizerunkami Ojców Kościoła i męczenników. Było tam także kilka olejnych obrazów, starożytnego lecz podrzędnego pędzla, wyobrażających niektóre sceny historyczne z polskiej rycerskiej przeszłości. Z powyższych przedmiotów łatwo było wysnuć wniosek stanowczy o samym właścicielu onych. Musiał być bogobojnym kapłanem i dobrym Polakiem – i był nim w istocie.

Ksiądz Gruszczyński sięgał już podeszłej starości. Słodycz i sędziwość jednoczyły się w jego rysach z religijnym natchnieniem, nie surowego ascety, lecz kapłana gorąco wierzącego i miłującego swoją wiarę. Skutkiem tych przymiotów był uprzejmym, pobłażającym, żartobliwym z godnością, dowcipnym bez jadu. Znosił cierpliwie żywość młodego trzpiota, jakim byłem wtedy, i nie srożył się wcale wobec swobodnej wesołości mojej, doświadczeniem życia jeszcze nie nadwreżonej. Była to jednak próba mniej trudna dla niego. Los nieprzychylny skazał go na gorszą daleko. Klasztor, któremu tak gorliwie służył, którego pobożność własnym przykładem utwierdzał i podniecał, spiknął się na spokojność jego. Co moment wbiegała przez jego pokoik jakaś klasztorna mieszkanka w poselstwie do mnie, to z filiżanką kawy od babuni, to z pierniczkami od samej ksieni. Ta przynosiła jakąś książeczkę nabożną, inna obrazki świętych. Ledwie się oddaliły, znowu wracały po wieść o moim zdrowiu, zajęciu lub o moim humorze. Młoda siostrzyczka panny ksieni, miłe i hoże stworzenie, najczęściej przybiegała poszczebiotać ze mną, pochichotać do woli i napłatać figielków zacnemu kapelanowi swemu, który, bywało, śmiejąc się dobrodusznie, broni się od niej kropidłem, brewiarzem egzorcyzmuje, wołając: "*Apage! apage!*" lub dyscypliną żartobliwie straszy.

Pewnego ranka weszło do mnie dwóch poważnych kapłanów. Kanonickie *distinctoria* na złotych łańcuchach zdobiły ich piersi. Jednym z nich był prałat Skierniewski, kapłan wzorowy, biegły teolog, najpoważniejszy z członków konsystorza, i (jak powiadano) prawa ręka księdza metropolity. Drugim był, jeżeli się nie mylę, ksiądz kanonik Brynk. Oświadczyli, że będąc przyjaciółmi babki, chcieli poznać i wnuka, co i było powodem ich odwiedzin. Po wstępnej wymianie słowa, zaczęli szanowni goście zarywać mię z przedmiotów naukowych, wiekowi mojemu odpowiednich, a następnie z łaciny i religii. Z łaski p. Gusseka, gorliwie pracującego nade mną od lat dziesięciu prawie, nieźle wywiązałem się z zadania. Sypnąłem cnym egzaminatorom gradem pogańskiej łaciny, z Georgików, Eneidy, Sielanek, Marona, z ód Horacego, z Cycerona i Tacyta, z których całe ustępy umiałem na pamięć. Poczym wstąpiłem na tor religijny i wynurzyłem z całym zapalem młodzieńczym cześć hołdowną dla wiary praojców, miłość gorącą i uwielbienie dla Boga, oraz głębokie uznanie praw zasadniczych Kościoła, pod którego opieką żyć pragnąłem i umierać.

– *Pulchre dixisti!* – zawołał ksiądz prałat Skierniewski z uniesieniem; poczym ucałował mię i pobłogosławił, i obiecawszy powtórzenie odwiedzin, wyszedł z towarzyszem swoim, zmierzając ku klasztorowi.

Pojałem, że dostojni ojcowie byli agentami babuni i wracali do niej dla zdania sprawy z poselstwa.

To co jej powiedzieli, musiało być nader pochlebny dla mnie, bo się rześciściej sypać zaczęły na mnie pierniczki, ciasteczka i makowniki miodowe, gęściej snuły się klasztorne poselstwa. W końcu, sama babunia (w asystencji owej figlarnej panienczki, która się ani kropidłem, ani brewiarzem, ani dyscypliną nawet odstraszyć nie dała) odwiedziła wnuczka łaskawie, uściskała, pobłogosławiła i rzekła:

– *Je suis contente de toi. Je te présenterai demain à Monseigneur. Tu en es digne.*

Nazajutrz około południa pojechaliśmy do księdza metropolity. Mieszkał w bernardyńskich murach, stosownie przerestaurowanych. Miał wspaniałe i obszerne apartamenta. Trzymał liczną usługę pokojową, w liberię rodu Cieciszewskich przybraną. Żył dwornio i po pańsku, bo mógł żyć tak i powinien był. Oprócz znacznej osobistej fortuny, posiadał nadto metropolitalne dobra, Chwastowszczyznę, klucz bogaty, przynoszący, jak mi powiadano, przeszło 200 000 złotych polskich intraty. Lecz większą częścią onej rozporządzał ks. metropolita na korzyść biednych rodzin, wdów i sierót, których był opiekunem gorliwym i najtkliwszym ojcem. Wszystkie dobroczynne dary i pensje, szły od niego przez ręce prałata Skierniewskiego. Domem rządził marszałek dworu, Gawroński, piękny i okazały Polonus, bogato po narodowemu wystrojony, istny typ szlachcica Sarmaty, co to i do kufła i do korda dzielny, a przy tym bogobojny i prawy. Widzę go dotąd przed oczyma, chociaż już lat 43 upłynęło od czasu, kiedym go raz ostatni widział.

Jak zwyczajnie, tak i tą razą wielki był zjazd u księdza metropolity. Kilkanaście powozów stało na dziedzińcu, a wszystkie sześciokonne, snać z poza Łucka przybyłe. W sali zastaliśmy liczny poczet gości płci obojga – czoło Wołynia i Podola, kwiat obywatelstwa tych prowincyj: Ciołkowie, Poniatowscy, Chołoniewscy, Ledóchowscy, Grocholscy – a także Miączyńscy, pochodzeniem, parentelą, a najwięcej rodowym honorem i wiernością ojczystym tradycjom znakomici. Przybycie nasze (nie moje, ma się rozumieć, lecz pani kasztelanowej) wielkie zrobiło wrażenie; rzadko bowiem ukazywała się w wyższej społecznej sferze swego kraju – źle mówię – nie rzadko, lecz właściwie

nigdy, bo oprócz Dubna, Łucka, Kustyna Rakowskich i Hulczy Podhorodeńskich, żadne inne miejsce nie istniało dla niej na świecie. Znali ją wszyscy, choć nie wszyscy widzieli. Dla wielu była ona mitem, legendarnym podaniem, uwieczniającym pamięć oryginalności kogoś, co się od dawna życiem ulotnił w przestrzeni i czasie. Jakoż otoczono ją z uprzejmą ciekawością, powitano z uszanowaniem jej prozapii rodowej należnym.

Księża metropolity nie było w sali; lecz skoro mu doniesiono o przybyciu mojej babki, wnet wezwał ją do siebie, i ja z nią wszedłem.

Zdumiony byłem i przeniknięty hołdownym uczuciem czci głębokiej, na widok tej sędziwej i wspaniałej postaci, tak wysoko postawionej w opinii polskiego świata. Jakby mędrzec jaki z czasów patriarchalnych człowieczeństwa, siedział on skupiony w sobie, i zdawał się ważyć myślą proroczą, pokoleń losy i narodów. Źródło światła ulotniło się już z jego źrenicy, lecz tym jaśniej płonęły blaski ducha jego i umysłu; tym głębiej gruntował on zadania społeczne, tym obficiej sączyły usta jego balsamy prawd żywotnych, opromienionych wiarą, nadzieją i miłością!

Cóż dziwnego, że się przed człkiem takim korzyły rozумы i serca? że kraj cały obrał go za najpierwszego arbitra sporów i nieporozumień? że się przed nim otwierały najskrytsze tajemnice rodzin, najdotkliwsze rany honoru, najboleśniejsze blizny sumienia? Wszędzie niósł on mądrą radę i pomoc skuteczną, z dodatkiem niebieskiej manny modlitwy i błogosławieństwa. Cóż zatem dziwnego, powtarzam, że w takim dygnitarzu Kościoła, widzieli nie tylko prawi katolicy, lecz i różnowiercy istnego apostoła prawdy, obleczonego Boskim mandatem łaski i miłosierdzia?

Kiedy ucałowawszy rękę metropolity, babka moja przedstawiła mię Jego Eminencji, zgiąłem kolano przed nim i skłoniłem czoło. On szukał mię tymczasem ręką, powtarzając łagodnie:

– A gdzież on, mój aniołek? Gdzież on?

– U nóg twych ojczy! – rzekła babka moja.

– A chodź-że tu mój aniołku! – przemówił czcigodny starzec. – Chodź tu, niech ucałuję ciebie – niech pobłogosławię.

Powstałem, i zbliżyłem się doń. Wtedy arcybiskup położył dłoń swoją na czole moim, jakby mię namaszczał na walkę z doczesnością, na długą

pielgrzymkę boleści i trudu – jakby udzielał tajemniczego święcenia jestestwu mojemu, żeby je opromienić czystością Eliacyna, ochronić od błędu, grzechu i przywary....

Uroczyste wrażenie tej chwili dotąd w mej pamięci pozostało. Dotąd czuję dotknięcie tej błogosławiącej dłoni, i słyszę te słowa arcypasterza:

– *Benedico te, in nomine Patris, et Filii, et Spiritus sancti, Amen!* – Żyj na pociechę sobie i ludziom. Używaj takiej miary szczęścia, jaka tu na ziemi jest możebną. Pamiętaj o Bogu, albowiem On wszystkim, i w Nim wszystko. Pamiętaj o sumieniu, albowiem ono jest sędzią wewnętrznym, wiecznie czuwającym, niepodkupnym, sprawiedliwym, ale surowym! Pamiętaj także o mnie starym – a gdy umrę, co z kolei rzeczy prędko nastąpić musi, zmów *Anioł Pański* za duszę moją.

Dzisiejsi ludzie postępowi, co się nie wahają wszechmocności Boga kontrolować, a Kościół Jego przenajświętszy mieć za nic, zgorszą się zapewne, gdy powiem, że ten akt solenny błogosławieństwa arcypasterza, że te słowa jego pełne miłości i namaszczenia, zachowałem troskliwie w pamięci serca, jak cudowny talizman łaski, najdroższy klejnot żywota, któremu przypisuję wpływ przeważny na doczesność moją, niepomyślną być może pod względem światowych sukcesów, lecz wolną za to od wewnętrznego wyrzutu, bo czystą wobec sumienia.

W ciągu pobytu naszego w Łucku, miałem szczęście otrzymać z rąk czcigodnego arcypasterza święty Sakrament bierzmowania. Była to łaska wyłączna, jakiej nikomu od dawna nie wyświadczał, bo ślepemu starcowi, blisko stuletniemu, trud obrzędowych ceremonii nie mógł być łatwym.

Przed samym południem otworzono kaplicę pałacową, oświecono ołtarz, i ksiądz prałat Skierniewski zasiadł do konfesjonau. Przygotowawszy się dniem przedtem do spowiedzi pod światłym przewodnictwem księdza Gruszczyńskiego, dopełniłem świętego aktu jak należało i z rąk dostojnego spowiednika, wyżej nazwanego, przyjąłem komunie. Działo się to w obecności pani kasztelanowej, która wnuka swego na krok nie odstępowała.

Wkrótce ukazał się pontyfikalnie ks. metropolita, w mitrze i z pastorałem w ręku. Dwóch liberyjnych hajduków wiodło go pod ręce. Dwóch kanoników asystowało, a Gawroński dumnie zarzucając wyloty, poprzedzał.

Kiedy arcypasterz usiadł na swoim tronie i skinął, bym się przybliżył, pani Eugeniuszowa Poniatowska obecna w kaplicy, ukłękła przy mnie, prosząc arcypasterza o udzielenie jej także Sakramentu bierzmowania.

I stało się według jej żądania.

Po ceremonii arcypasterz legł krzyżem na stopniach ołtarza i modlił się dość długo. Kiedy go podniesiono był prawie zemdłony, nie mógł przemówić, ani głowy podnieść. Świeccy i duchowni, domownicy i goście, pospieszyli z pomocą; damy z flakonikami trzeźwiących octów i spirytusów, mężczyźni z wodą zdrojową lub winem. Każdy krzątał się, biegał, niepokoił. Ja byłem przerażony. Moja siostra od ceremonii, Poniatowska, załamywała dłonie, płacząc głośno. Wtem Gawroński, wierny sługa, duszą oddany swemu dostojnemu panu, wpadł z filiżanką bulionu na tacy i podawszy wracającemu już do przytomności arcypasterzowi ów kordiał posilny, prosił żeby się napił. Wkrótce ocucił się zupełnie, nabrał sił nieco, potoczył dokoła obliczem, jakby widział jeszcze i rzekł:

– To nic, dzieci moje kochane! – Pan mój nie powołał mnie jeszcze do siebie. Jeszczem z wami i błogosławię wam za wasze pocziwe serce dla mnie!

Ledwie skończył, klęczeliśmy już wszyscy u nóg jego, całowaliśmy kolana i ręce, wyrażając radość naszą, że przemówił do nas – że się czuł zdrowszym. Po licach jego sędziwych toczyły się łzy rozrzewnienia. Wyciągał ręce dokoła siebie, jakby chcąc zgarnąć wszystkich nas w jedno gronko i do serca przycisnąć.

Nigdy nie zapomnę tej sceny, istnie budującej, której byłem aktorem i widzem. Niewielkiego ona pozornie znaczenia zapewne, a jednak wiele z niej treści pouczającej wyciągnąć można, wiele duchowych rozkoszy przez wspomnienia i wiele prawd smutnych przez porównanie. Są jeszcze i ninie z łaski Boga świątobliwi kapłani, dostojni dygnitarze Kościoła, są nawet szlachetni męczennicy ołtarza; lecz gdzie są u nas ci, co by im cześć zasłużoną oddali? co by się ukorzyli umysłem i sercem przed ich cnotą, hartem duszy, poświęceniem? co by ich wreszcie posłuchali gdy mówią, radzą, oświecają? Za wielcy dziś ludzie do tak drobnych rzeczy! – Nieprawdaż?

Nazajutrz byliśmy na obiedzie u księdza metropolity. Jak zwykle, stół był gęsto obsadzony gośćmi, obfity i wspaniały. Sam czcigodny gospodarz nie jadł, poprzestając na postnym rosółku, którym się codziennie w porze śniadania z

addytamentem czarnej kawy posilał. Za to uczestniczył w ogólnej rozmowie biesiadujących, dostarczał do niej treści ciekawej, podniecał ją uprzejmością swoją. Widno w nim było człowieka wielkiego świata, wzniosłej umysłowej sfery, wprawnego władnąć słowem, zgodnie z potrzebą chwili i moralnym znaczeniem osób. Kiedy bywał w dobrym usposobieniu, schodził nierzadko z poważnej idei do humorystycznego poziomu, i wyśmienitą jakąś anegdotkę z realnego życia opowiadał.

Pod koniec obiadu Gawroński zbliżył się do arcybiskupa i coś mu po cichu powiedział. – Prosić – rzekł metropolita. Gawroński wybiegł i wprowadził za sobą jakiegoś generała w paradnym stroju. Był to, o ile sobie przypominam, Gogel, dowódca dywizji piechoty, do litewskiego korpusu należącej. Podeszedł z oznakami głębokiego uszanowania do księdza metropolity i ucałował rękę jego, doniósł, że przybywa z rozkazu Wielkiego Księcia Konstantego, który najdalej za godzinę ma przejeżdżać przez Łuck, i chce być u Jego Eminencji.

– *Son Altesse Impériale est bien bonne de songer à moi* – rzekł arcybiskup – *et vous êtes bien aimable, général, de m'avoir prévenu d'une chose, qui me fait le plus grand plaisir.*

Wiadomość o spodziewanej co chwila wizycie, pomieszała szyki całego towarzystwa. Damy bały się Wielkiego Księcia, mężczyźni drżeli na jedno o nim wspomnienie. Sama wreszcie etykieta wymagała zostawienia wolnego placu oczekiwanemu gościowi. Zaczęto więc wysuwać się pomaleńku i moderować do drogi. Większa jednak część naszego grona była jeszcze w salonie, gdy nagle powóz jakiś zaturkotał u podjazdu, i Gawroński wszedł pośpiesznie wołając: "Wielki Książę!".

Na to hasło rozstąpiliśmy się szerokim półkolem, po obu stronach fotelu arcybiskupa, który oczekiwał spokojnie nadejścia gościa.

Wtem rozwarły się podwoje salonu, i wszedł szybkim krokiem Wielki Książę.

Był w polskim jeneralskim mundurze, z błękitną wstęgą przez plecy. Wysoki, barczysty, bawolego karku, z brwiami złowrogo nastrzępionymi nad nosem kałmuckiej struktury, nie mógł on przyjemnego wywrzeć wrażenia. Przeciwnie, wyraz grubej, despotycznej, ba nawet wściekłej natury, udzielał twarzy jego jakiegoś dzikiego, zwierzęcego charakteru, przed którym niepodobna było nie zadrzeć od wstrętu i obawy.

– *Bon jour Mesdames et Messieurs!* – rzekł, grymasując uśmiech uprzejmy, do nas adresowany.

Ogólny ukłon był mu odpowiedzią za komplement.

On się też skłonił, dość grzecznie nawet, poczym rzekł do metropolity, mieszając polski język, którym się tłumaczył doskonale, z francuskim:

– *Je viens chercher Votre bénédiction Monseigneur!* – Zateśniłem za Waszą Świątobliwością. Dawnośmy się już nie widzieli. Więcej roku. *Comment va Votre chère santé?*

– *La santé d'un vieillard comme moi, n'est jamais trop bonne* – odpowiedział arcypasterz.

Usiadłszy na przygotowanym fotelu Wielki Książę, potoczył badawczym okiem wokoło, i poznawszy babkę moją, przy której i ja stałem, zawołał zmierzając ku niej:

– *Aa – Madame la Comtesse Plater!* – *Charmé de vous voir!* Syn asani dobrodziejki, książę Konstanty Lubomirski, odznaczył się chwalebnie w terażniejszej wojnie. *Je vous félicite.* Wytrzymał z dywizją swoją szalony atak tureckiej kawalerii. Przez kilka godzin stał nieporuszony na swojej pozycji. *C'est un beau fait d'armes.*

Potem ukazując na mnie, zapytał:

– A kto ten młody kawaler?

– Mój wnuk J. S. – odpowiedziała pani kasztelanowa.

– Oddaj mi go asani dobrodziejka. *J'en ferai un bel officier.*

– Z największą wdzięcznością skorzystałabym natychmiast z łaski Waszej Cesarskiej Wysokości – ale on jeszcze za młody. *Il faut qu'il finisse auparavant ses études.*

– *Qu'il les finisse donc!* – odparł z niezadowoleniem Wielki Książę – ale niech potem przybywa do Warszawy.

– Kuruta! – rzekł do swego szefa sztabu i nieodstępного towarzysza podróży:

– Zapisz nazwisko tego młodego kawalera, a skoro przyjedzie do Warszawy, przyprowadź do mnie. (Zwracając mowę do babki mojej) – niech służy, niech nie próżnuje. *L'Empereur désire* żeby wszyscy młodzi ludzie *de bonnes maisons* służyli. A to im zaraz jakieś polityczne brednie głowę skręcają i do głupstw doprowadzają! *La Pologne ne sera jamais ce qu'elle fut – elle ne pourra être que ce qu'elle est.* Czas już pogodzić się *avec les faits accomplis*. – Rosja i Polska, to jedno! *N'est-ce pas Madame?*

I nie doczekawszy odpowiedzi, jakby sam ocenił, że to co mówił nie zasługiwało na odpowiedź, skłonił się etykietalnie wszystkim, dając poznać żebyśmy się oddalili. Zrozumieliśmy. Ucałowawszy tedy ręce ks. arcypasterza, opuściliśmy salę.

Tego dnia Wielki Książę nocował w Łucku i do późna bawił u księdza metropolity.

Już go więcej nie widziałem. Projekt warszawski nie przyszedł do skutku. Darmo się fatygował generał Kuruta zapisywaniem nazwiska mojego. Pan Bóg inaczej mną rozporządził. Niech się stanie według Jego przenajświętszej woli.

Kiedy sięgam pamięcią w tamte czasy i skupiam w jeden całkowity obraz cechy onych moralne, czuję, że mi boleśnie powracać z umysłowej wycieczki mojej do chwil obecnych – przeszłość zamieniać na terażniejszość. Niemało żyło wtedy jeszcze ludzi poważnych, religijnych, szanujących godność swoją; ludzi, wywierających wpływ zbawienny na ogół społeczeństwa, które się w nich wpatrywało, jakby w jasne odbicie cnót staropolskich i staropolskiego honoru. Oni to przewodniczyli młodemu pokoleniu, radą rozsądną i szlachetnymi czyny. Oni stali na straży narodowej idei i Kościoła. Chociaż i wtedy nie wszystkie serca były bez przywary, nie wszystkie umysły bez błędu, (bo kiedyż mogło być inaczej na świecie?) suma atoli dobrych pierwiastków moralnych była tak dalece przewyższająca, że te wyjątkowe plamki stawały się niewidomymi prawie na tle jasnym zbiorowego charakteru. Wyższość każda istotna znajdowała uznanie. Idea narodowa płynęła po sercach zdrojem czystym, wolna od mętów, jakimi obecnie zaćmiona. Kościół nie ulegał analizie, przeczeniu, zniewadze. Wierzone na dobre, bez fałszu, restrykcji, rozumkowania. Była tedy łączność duchowa, były szczerze dążenia polskie, katolickie, humanitarne, na których, jak na twardej opoce, mogła stać nienaruszenie budowa społeczna i przetrwać wieki. Dziś inaczej niestety! inaczej! Cni starszycy legli w mogiłach swoich. Czas zaproszył ślady, którymi stąpali po życiu – ulotnił ich przestrogi i wzory –

rozwiął imiona w przestrzeni! Ciemno bez nich i głucho! Pamiętam słowa Karola Wandalina Mniszcha, które z ust jego słyszałem: "Tyś młody, dłużej zatem żyć będziesz ode mnie i obaczysz to, czego nie chciałbym doczekać, i nie doczekam. Dużo się u nas zasiało zachodniego chwastu. Ten chwast wkorzeni się na naszej małpiarskiej glebie, i wszelkie dobre polskie ziarno zagłuszy. Łatwo zgadnąć, co potem nastąpi!". – Nie biorę na siebie odpowiedzialności za tę surową jego przepowiednię. Zostawiam innym osądzić, czy miał rację lub nie? Co do mnie, wracam do pierwszej narracji.

Nazajutrz po przyjeździe Wielkiego Księcia, byliśmy z babką moją u ks. biskupa Podhorodeńskiego. Był to gorliwy pasterz, surowy sędzia w przedmiocie dyscyplinarnej karności i wzorowy administrator diecezji. Nie ustępował on w bogobojności i obywatelskich zaletach ks. arcypasterzowi Cieciszewskiemu, lecz nie miał jego słodyczy, jego pobłażania. Sam nieposzlakowany, wymagał żeby i drudzy byli takimiż. Drogi, jakimi dążył do tego celu, często były nieuwzględniające należycie różnicowości w charakterach i usposobieniach ludzi, na których działać zamierzał, i dlatego wielu bardzo na siebie oburzał. A jednak i ci ostatni nawet, choć go nie lubili, poważali głęboko, bo nie poważać go nie było podobieństwem. Prawda nie miała nigdy wierniejszego tłumacza i mężniejszego obrońcy. "*Veritas ante omnia*", zwykł powtarzać i żył według tego.

Tu miejsce właściwe przytoczyć jedno zdarzenie, uwydatniające stronę moralną ks. biskupa Podhorodeńskiego. Powtarzam literalnie opowiadanie rodzonego synowca jego, prezesa Podhorodeńskiego, z którym zbliżyły mnie okoliczności w 1841 r.

Ojciec biskupa, kasztelan nie pomnę jaki, pan możny, wpływowy i butny, nie miał równego sobie w despotyzmie domowym, posuniętym częstokroć aż do tyraństwa. Domownicy drżeli przed nim. Żona nie śmiała ust otworzyć, nie zapytana. Dla poddanych swoich był on sprawiedliwym panem, dopóki wypadek jaki nie strącił zapalczywego umysłu z równowagi i nie poruszył żółci. Wtedy zwykł cny kasztelan regulować karę do artykułów penalnych swego własnego kodeksu, którego by mu i sam Drakon pozazdrościł. Ojcowską powagę dzierżył wysoko, nie miłością wywołującą wdzięczność hołdowną, lecz rygorem, który przy lada okazji sprowadzał z teorii do nielitościwej praktyki. Dwóch dał mu Pan Bóg synów. Starszy został generałem – inspektorem wojsk Rzeczypospolitej; młodszy biskupem Łuckim.

Stopień wysoki nie uratował pierwszego od sporej dozy rodzicielskich batogów (na kobiercu ma się rozumieć) za to, że się ośmielił usiąść przed moim dziadem (3), kiedy ten stał. – Młodsze chroniła od podobnej zniewagi znakomitość kościelnego dostojęstwa. Jako prawy katolik starego etatu, kasztelan, niczyjej wyższości nad sobą nie uznający, okazywał się względnym, kornym nawet wobec biskupa. Bywały jednak czasami chwile niecierpliwego porywu, niezgodnością zdań i poglądów wywołane, w których wpadając w zapomnienie, kasztelan wykrzykiwał: "Dziękuj księżu biskupie mitrze i pastorałowi, bo jakem *sodalis*, wypiętnowałbym na plecach Waszej Eminencji całe *Dziesięcioro*, żebyś pamiętał, że syn nie powinien różnić się zdaniem od swego ojca!". Gdy ochłonął, przeproszał i mimo usilnego oporu ze strony biskupa, całował rękę jego, prosząc o błogosławieństwo.

Zdarzyło się tak, że pewnej jesiennej nocy, chłodnej i słotnej, gwałtowne stukanie do drzwi, zbudziło sługi biskupa. Wzywano go do umierającego. Biskup wsiadł do powozu, wziął z sobą posłańca za przewodnika i pojechał. Konie stanęły na dalekim przedmieściu Łucka, przed małą prawie walącą się chatką.

W brudnej, chłodnej i wilgotnej izdebce leżał na barłogu umierający. Kilkoro dzieci, prawie nagich, białych od głodu i zimna, tuliło się w kąciку, patrząc z trwożnym podziwem na obcego człowieka, którego obecności nie pojmowały.

Na widok biskupa ożywiły się oczy chorego i z wyrazem rzewnej radości przemówiły zsiniałe lica. Podniósł się nawet o swojej mocy, czego nie mógł od dawna dokazać, i ujawszy rękę świątobliwego Pasterza, ucałował ją ze czcią gorącą, i rzekł:

– Ojcze! racz przyjąć spowiedź grzesznika pokutującego, i przygotować duszę jego na sąd Boży!

Biskup wysłuchał ostatniej spowiedzi. – Rozgrzeszył. – Opatrzył wiatykiem. – Namaścił olejami świętymi. – Ukląkł przy łożu śmierci i modlił się.

I cicho było w chatce.... Żaden gwar nie śmiał wnikać tam, gdzie Duch Boży ulatywał w promieniach miłosierdzia swego, gdzie śmierć czekała tylko skinienia Bożego, by rozewrzeć bramę wiecznego życia pokutującemu grzesznikowi.

Wielka to była zaiste i święta scena!

Ten książę Kościoła, kornie modlący się w przybytku niedoli i nędzy. – Ten ojciec konający z niedostatku. To żałośnie gronko sierot bez opieki, przytułku i chleba! – komuż by widok taki nie poruszył serca?

Nagle chory przerwał milczenie.

– Ojcze! – rzekł on wpatrując się błagalnym okiem w biskupa – Ojcze! powiedz, co widzisz dokoła? – Czyś pojął co widzisz? Nędzę? – to nie wszystko jeszcze! Łachmany nieszczęsnych dzieci moich? Twarze ich wychudłe od cierpienia i niedostatku? oczy zapadłe i zmierzchłe od płaczu i bezsenności? – to nie wszystko jeszcze! Nie widzisz żalu mego! żalu co mię dręczy, niepokoi, przeraża; żalu którego przyczyny nie śmiem wyznać przed Tobą, by nie zniechęcić Ciebie, i biednych dzieci moich łaski Twojej nie pozbawić!..

– Człowieku co z tobą? – zawołał Biskup ze wzruszeniem. Po cóżeś mię powołał, jeżeli duszę twą zamykasz przede mną? – Jam tu posłańcem Bożego miłosierdzia, w Jego przenajświętszym imieniu przyniosłem tobie ulgę i przebaczenie. Dokończ wyznania! Opowiedz skąd żal twój? i czym da się załagodzić?

Chory zdawał się walczyć z sobą, jakby się wahał wypowiedzieć, co wewnątrz jego tailo, w końcu przemówił gorączkowo:

– Nie byłem ja zawsze nędzarzem. Szlachcic z rodu, siedziałem spokojnie na spuściznie przodków, niewielkiej wprawdzie lecz dostatecznej dla człowieka poprzestającego na małym.

– Bóg obsypał mię swoimi dary. Dał mi dobrą i cnotliwą żonę. Obdarzył liczną rodziną – i błogosławił pracy mojej, albowiem nie było pod naszą strzechą niedostatku.

O miedzę ode mnie graniczyły obszerne posiadłości możnego pana. Ludzie jego worywali się coraz głębiej w grunta moje, czym szkody niemało przyczyniali. Prosiłem, aby tego nie robili – nie pomogło! Udałem się ze skargą do rządcy magnata – nic nie wskórałem! Pojechałem do samego pana – nie raczył mię nawet przyjąć! Gdy tedy wszystkie usiłowania moje, załatwić tę kwestię polubownie, okazały się płonnymi, podałem skargę do sądu.

Zdumiał się magnat taką zuchwałością moją. Poforsował, zapłacił – i zyskał wyrok, jakiego sam żądał.

Czystość sprawy mojej nie ochroniła jej! – przemoc wzięła górę! – Łzy moje nie pomogły – przeważyło złoto magnata!

Żona mi umarła ze zgryzoty. Za nią w ślad poszła córeczka, maleńkie dziecko, które sama karmiła. Dwa ciosy bolesne spadły na mnie. Otarłem łzę i zawołałem: Panie! niech się dzieje według Twojej woli!

Wkrótce najechali domek mój sądowi. – Ogłosili wyrok. Nie było w nim ani słowa prawdy, ani cienia bojaźni Boga. Kłamstwo i niesumienność zajęły ich miejsce. Wyrok opiewał: że ten kawał ziemi, na którym mieszkałem, zostawał nieprawnie w moim posiadaniu; że istnym właścicielem onego był Jaśnie Wielmożny... sąsiad mój; że wskutek tenoru sądowej decyzji, jednogłośnie przez wszystkich członków uchwalonej, miałem ja *ex nunc* wyruszyć z domu, zostawiwszy na gruncie cały mój remanent na pokrycie kosztów, na jakie Jaśnie Wielmożnego sąsiada mego naraziłem, wytaczając mu niesprawiedliwą sprawę.

Pożegnałem więc moją rodzinną strzechę, strzechę od pradziadów uczciwą i bogobojną! – Pożegnałem, nie bez łzy gorzkiej i nie bez gorzkiego żalu do sprawcy nieszczęścia mojego!

– Kto on taki? zapytał Biskup ze współczuciem i oburzeniem. Nazwij go! i jeżeli on żyje, postaram się skłonić go do restytucji tego, co sobie niesumienne przywłaszczył. – Czy nie masz jakich dokumentów?..

Chory ukazał ręką na maleńki kuferek stojący w kącie – i rzekł słabym głosem:

– Wszystko tam znajdziesz, Ojcze.

– Dobrze – przemówił Biskup – użyję tych dowodów na korzyść dzieci twoich. – Stanę w obronie ich prawa gorliwiej, jak gdybym własnego prawa bronił. – Zapomnij teraz o rzeczach doczesnych, mój synu, a oddaj się myślą i sercem Bogu. Nazwij tylko sprawcę twojej nędzy! – Niech wiem, kto on?

– Pan kasztelan Podhorodeński – wymówił mdlejącym głosem umierający.

– Mój Ojciec! – Boże litościwy! – zawołał Biskup, jakby gromem rażony, i opuszczył się na kolana pod ciężarem bolesnego ciosu, którego się nie spodziewał.

W tej chwili chory opadł zupełnie na siłach. Chciał coś wyrzec jeszcze, lecz słowa zastygły na bezwładnych ustach, i ręka opadła w niemocy. – Oczyma tylko, zwróconymi ku Biskupowi, wyrażał wdzięczność swoją i błagał przebaczenia za boleść, jaką mu sprawił.

Wkrótce i oczy mierzchnąć zaczęły... Bliska już, bliższa ostatnia chwila była cierpienia! Biskup powołał dzieci do łóżka konającego ojca. Sam ukląkł przy nich i łączył swoje z ich łzami zjednoczył.

– Módlcie się dzieci! – mówił im – módlcie się za ojca waszego, albowiem odchodzi już do wieczności. – Odtąd ojcem... Ja!

Kiedy ostatnich słów domawiał, chory zaczął wpadać w omdlenie. Nastąpiło ciche konanie.

Biskup pospieszył włożyć zapaloną gromnicę do ręki konającego i powtarzał z uroczystym wzruszeniem aż do ostatniej chwili:

"Et nunc proficisce anima christiana... sit tibi Deus misericors!".

Grobowe milczenie panowało dokoła; wiatr tylko jesienny miotał się wśród nocy – i płacz dzieci rozlegał się w chatce.

Z poprzedzającego opisu łatwo się domyśleć, jakie było dalsze postępowanie czcigodnego pasterza. Pogrzebał nieboszczyka własnym sumptem, nie szczędząc wydatku. Dzieci pomieścił w swoim domu, otoczył pieczołowitością prawdziwie ojcowską, i o wychowaniu ich pomyślał. Poczym zajął się rozpatrzeniem dokumentów. Dni kilka poświęcił tej pracy, tyle mającej dlań znaczenia, tyle bolesnego interesu. I cóż? pokazało się niestety! że ojciec jego był winnym! że pogwałcił, zniszczył i do rozpacz doprowadził uczciwego człowieka, szlachcica jak on sam, a do tego sąsiada! – Jako syn, chciałby dostoyny Biskup znaleźć co na usprawiedliwienie ojca – rzecz bardzo naturalna – lecz im się więcej zaciekał w analizie wypadku, tym się dobitniej objawiała jemu zbrodnia ojca, i tym dotkliwiej cierpiał. Natrafił bowiem w papierach na akta autentyczne nieprzerwanego posiadania od czterech pokoleń, na prawne intromisje, rządowe testimonia dziedzictwa. Znalazł na koniec odpis wyroku expulsji, na żadnym legalnym fakcie nie opartej, arbitralnej. Buta magnacka,

fantazja nie znająca hamulca, i przewaga siły nad prawem, były podstawą tego niecnego wyroku, którego cała odpowiedzialność moralna spadała na kasztelana Podhorodeńskiego.

Jakkolwiek było to trudnym zadaniem dla Biskupa, przewidującego niemałe trudności w poskromieniu despotycznego uporu kasztelana, nie osłabł jednak w chwalebnym zamiarze i pojechał do ojca. Jakoż i stało się, jak przewidywał. Na pierwszą wzmiankę o powodzie przybycia syna, uniósł się stary kasztelan gniewem zapalczywym. Biskup zamknął się w kornym milczeniu, nie podniecał uniesień ojca, stał przed nim z wyrazem czci i uległości, pozwalając wybuchowi butnej natury starca ulotnić się swobodnie, szlachetniejszym ustąpić miejsca porywom. Opamiętał się w końcu kasztelan. Zażądał aktów urzędowych, które ma się rozumieć, Biskup miał przy sobie. Po rozpatrzeniu owych, nie bez gwałtownego kręcenia wąsów, i tupania nogą (co dowodziło u niego najwyższej potęgi nieukontentowania) kasztelan rzekł do syna:

– Weź aść, Mości Biskupie, te szpargały, których by i sam diabeł nie zrozumiał i osądź według nich, a zwłaszcza według sumienia twego (któremu ufam) tę przeklętą sprawę. Wybieram ciebie na arbitra, i dam tobie na piśmie obowiązanie się poddać twemu wyrokowi, jakiego by tenoru on był. A teraz dość o tym! Daj mi aść czysty spokój! i bywaj zdrów!

Po tych słowach wyszedł, i drzwi zatrzasnął.

Opatrzony legalnym *instrumentem* kasztelana, Biskup powrócił do Łucka, gdzie się znowu zajął z podwójną gorliwością, sprawą powierzoną sumieniu jego. Wczytywał się w dokumenta, radził się artykułów statutu, szperał w konstytucjach, czytał *Volumina Legum*, roztrząsał kategorie, porównywał akcesoria, każdy swój wniosek poddawał surowej krytycznej analizie, by się nie pomylić czasem, sumienia nie obciążyć, ojcu nie ubliżyć, Boga nie rozgniewać. Lecz niestety! nie było sposobu uniknąć bolesnej ostateczności! bo *veritas ante omnia!* – Nie było sposobu, nie tylko uniewinnić ojca, ale nawet winę jego złagodzić! – A więc trzeba było wyrzec się na chwilę charakteru syna, i pozostać li tylko arbitrem, sędzią bezstronnym, wykonawcą chłodnej i bezwzględnej litery prawa!

Nim przystąpił do pisania wyroku, Biskup zaczął od tego, że odprawił Mszę świętą wzywając Boskiego światła i błogosławieństwa. Potem odbył trzy dni postu o chlebie i wodzie, wyspowiadał się, i przystąpił do stołu Pańskiego.

Tym sposobem przygotowany, czysty na duszy i sumieniu, i wsparty świadectwem gruntowego przekonania napisał w końcu wyrok, ściśle do praw krajowych zastosowany, mocą którego miał pan kasztelan:

1-mo Zwrócić natychmiast *titulo restitutionis* przywłaszczone grunta na rzecz pozostałych dzieci jego.

2-do Zapłacić całkowitą wartość remanentu wziętego nieprawnie w gruncie, według inwentarza znajdującego się przy sprawie, z doliczeniem $\frac{6}{100}$ za wszystkie lata.

3-tio Zwrócić całkowity dochód z powyższego gruntu, za cały ciąg nieprawego posiadania onego, z dodatkiem $\frac{6}{100}$.

4-to Wnieść sztrafowe grzywny, *in vigore legum* przypadające na korzyść skarbu krajowego.

5-to Wsiedzieć dwa tygodnie więzy, *in fundo*.

Gdy pan kasztelan wyrok takowy otrzymał, wyskoczył z siebie i zawrzał straszliwym gniewem. Bił, kruszył co mu w ręce wpadło, szarpał siebie za wąsy, targał siwą czuprynę, ścisnął pięście, grożąc komuś niewidzialnemu.

– Mnie *in fundo*! – wołał – mnie kasztelana *ergo* senatora! Mnie *ex antiquissima nobili stirpe* pochodzącego! Czekać-no Mości klecho! Pokażę ja tobie, gdzie raki zimują! – Hej! kto tam? do kroćset stu tysięcy diabłów! Prędeż konie! – Jadę do Łucka!...

I pojechał.

W Łucku nie chciał stanąć u syna, bo się nań dąsał. Zatrzymał się w domu zajezdnym, skąd posłał sługę do Biskupa, żeby natychmiast przybywał. Niedługo bawił posłaniec, bo dom kapitulny, w którym mieszkał Biskup, nie był daleko.

– A co? stary wygo! huknął niecierpliwie kasztelan – Czy prędko przybędzie?

– Księdza Biskupa nie ma w domu – odpowiedział sługa.

– A gdzież on u licha? – Gdzie on? – mówże do kroćset diabłów!

– Wysiaduje więzę *in fundo*.

– Wiezę – *in fundo* – on? – Biskup! krzyknął zdziwiony kasztelan, uszom swoim nie dając wiary. Powtórz coś rzekł – gdzie ks. Biskup?

– Wysiaduje wieżę od tygodnia – nie wyjdzie aż za tydzień.

Oślupiał stary zapaleniec, i w gębie języka zapomniał. Wtedy to pojął on dopiero wysoką cnotę syna, i poczuł się drobnym, nikczemnym przed nim. Wtedy to znowu miał on prawdziwą wielkość, nie tę jaką dają pergaminy, jaką świat swych ulubieńców obdarza, ale tę, którą Duch Boży w sercu pomieszcza i w czynach chwalebnych przejawia. Chwila jedna skruszyła przesady i omamienia całego żywota! Chwila jedna przerodziła człowieka! "*In fundo*, mój syn! – wołał – *in fundo!* Biskup! dygnitarz Kościoła! – i to za mnie! za mnie! starego szaleńca i grzesznika!".

Rzekł, i wybiegł na ulicę. Pyta przechodniów, gdzie wieża sądowa? – I bieży, bieży: Stał wreszcie u bramy, zadyszany. Straż oddźwierna go nie puszcza – ale on woła: "Jam kasztelan Podhorodeński, a tu mój syn ksiądz Biskup Łucki – puśćcie mię, zaklinam was na Boga żywego!".

Starszyzna od warty nadeszła i kazała wpuścić.

Jakież pióro zdoła wznieść się do wysokości sceny, jaka się wtedy w głębi więzienia odegrała. Biskup klęczał przed wizerunkiem ukrzyżowanego Zbawiciela, kiedy się nagle drzwi rozwarły i kasztelan wbiegł do celi, zachodząc się płaczem rozgłośnym.

– Tyś tu! Synu mój! wołał dławiąc łkania gwałtowne. Jam tu być powinien, a nie ty, nie ty, coś cnotą swoją opamiętał mię, i do szlachetniejszych uczuć pobudził! Synu, tyś moim dobroczyńcą, radością serca, chlubą rodu naszego. Idź! idź stąd! – Ja cię zastąpię, bo ja winowajca a nie ty, jam grzesznik a tyś święty, jam nikczemny a tyś wielki.

Mówiąc to, ścisnął, całował, łzami oblewał Biskupa, który się nie posiadał od radości, bo dopełnił świętego obowiązku, i miłością ojca został wynagrodzony.

Nie masz potrzeby przeciągać opowiadania mojego. Łatwo je sam czytelnik dokończyć potrafi. Zostaje mi tylko pobłogosławić pamięci księdza Biskupa Podhorodeńskiego, który dziecinne i młodociane lata moje łaską swą zaszczycał. Oby się więcej rodziło takich sług ołtarza, szermierzy Kościoła, wyznawców prawdy i przyjaciół ludzkości!...

BERLICZ SAS

Artykuł z czasopisma "Przegląd Lwowski", Rok pierwszy (1871). Tom I. (Wydawca i Redaktor X. Edward Podolski). Lwów 1872, ss. 650-666. (a)

(Pisownię i słownictwo nieznacznie uwspółcześniono; ilustracja od red. *Ultra montes*).

Przypisy:

(1) Obacz mój pamiętnik pt. "Pani kasztelanowa Trocka".

(2) Obacz moją "Ukrainę".

(3) Ze słów prezesa Podhorodeńskiego i mego ojca, któremu ten fakt niesłychany jego matka opowiadała.

(a) Por. 1) Berlicz Sas, [Karta wspomnień](#).

2) "Przegląd Lwowski", [Stanisław Hozjusz](#).

3) Abp Ignacy Hołowiński, *Homiletyka*. a) [Jędrzej Laskary Gosławicki. Kaznodzieja na soborze w Konstancji](#). b) [Prymas Stanisław Karnkowski](#). c) [Ks. Piotr Skarga](#).

4) Kazimierz Lubecki, [Wspomnienie o księciu kardynale Puzynie](#).

5) Ks. Piotr Pękalski, [Żywoty Świętych Patronów polskich](#).

6) O. Franciszek Świątek CSsR, [Świętość Kościoła w Polsce w okresie rozbiorowym i porozbiorowym. Życiorysy świątobliwych Polaków i Polek ostatnich wieków](#).

7) "Szkoła Chrystusowa", [Sława Sarmacji, jasnoświetna Pochodnia Kaznodziejskiego Zakonu. Żywot Księdza Wawrzyńca Owłóczymskiego \(1724 – 1763\)](#).

8) Ks. Franciszek Gabryl, *Polska filozofia religijna w wieku XIX*. a) [Ks. Karol Surowiecki \(1754 - 1824\)](#). b) [Ks. Stanisław Choloniewski \(1792 - 1846\)](#).

9) Bp Michał Nowodworski, a) [Ksiądz Karol Surowiecki](#). b) [Śp. ksiądz Zygmunt Golian](#).

10) Ks. Władysław Czencz SI, [Pierwsza ofiara Murawiewa. Opowiadanie naocznego świadka](#).

11) Ks. Zygmunt Chelmiński, [Ojców naszych Wiara Święta. Katechizm przystępnie wyłożony i przykładami objaśniony](#).

12) Ks. Michał Ignacy Wichert, [Nauki katechizmowe o Składzie Apostolskim, Przykazaniach Boskich i Kościelnych, o Modlitwie Pańskiej i Sakramentach](#).

13) Ks. Konstanty Gawroński, [Jasny i gruntowny wykład prawd wiary i moralności chrześcijańskiej](#).

(Przyp. red. *Ultra montes*).



([HTM](#))

© *Ultra montes* (www.ultramontes.pl)

Cracovia MMXVII, Kraków 2017